

ROBACZYWY UMYŚL,

ROBACZYWIE SERCE



Robaczywy umysł, robaczywe serce

1.

April zdjął z głowy metalową kulę przypominającą staroświecką suszarkę do włosów w zakładzie fryzjerskim, w której przez sekundę zrobiło się przenikliwie jasno. Dobrze, że miał na oczach czarne klapki.

Kula uniosła się na elastycznym wysięgniku i zawisła pod sufitem.

— I jak, panie doktorze? — zapytał.

Dr Okrutnicki spojrział na niego z miną wyrażającą dylemat: podać wersję optymistyczną czy powiedzieć prawdę. Skubał swoją mocno już przerzedzoną bródkę — w sobotę będzie musiał wybrać się do Centrali Nasiennej i kupić na zapas lekarskiej bródki z gatunku tych bardziej odpornych na skubanie. — Powiem panu wprost — zdecydował się. — Nie będę przed panem niczego zatajał, w końcu jest pan dorosły.

— Za miesiąc skończę dwadzieścia jeden lat — wyciągnął się dumnie April.

— Dwadzieścia jeden lat kończy się tylko jeden raz, wiem coś o tym — rzekł dr Okrutnicki z melancholijnym uśmiechem.

— Niech pan wali, nie boję się niczego — powiedział zapalczywie April.

Dr Okrutnicki wyplącił mu piąchę w nos.

— Au! To boli — powiedział zduszonym głosem April. Łzy stanęły mu w oczach.

— Prawda czasem boli — powiedział dr Okrutnicki bez satysfakcji, raczej z niezadowoleniem. Stawał się zbyt sentencjonalny. — Ma pan larwę w mózgu.

April przełknął ślinę. Dźwięk ten było z pewnością słychać w całym domu. Nos puchł na poczekaniu, jak specjalny gatunek grzyba.

— Jest wielkości ziarenka ryżu — ciągnął lekarz. — Na razie znajduje się w fazie uśpienia, jeśli wybaczy mi pan ten profesjonalny żargon. Nie mogę dokładnie określić, ile potrwa ten stan i kiedy zacznie rosnąć. Gdy to nastąpi...

— Co wtedy? Umrę? — Głos Aprila zabrzmiał jak skrzeczenie żaby.

— Nie tak prędko. Robak ten, z gatunku nicieni, zwany po łacinie *Verme memoris*, rozwija się w płacie mózgu odpowiedzialnym za pamięć, wspomnienia, wiedzę. Jego aktywność powoduje zerwanie pewnych połączeń na poziomie neuronów, co stopniowo doprowadza do amnezji i ogłupienia. Wyrażając się bardziej poetycko, żywi się ludzką pamięcią. To oczywiście tylko taka metafora, jednak przyzna pan, że trafna, gdyż świetnie charakteryzuje objawy. Do swojego rozwoju potrzebuje pożywienia, którym jest tkanka mózgowa. Ma duży apatyt, co wiąże się z dużymi stratami w mózgu nosiciela. Mam nadzieję, że nie epatuję grozą? — spytał uprzejmie.

— Nie, nie — zaprzeczył pobielałymi wargami April. — Niech pan mówi dalej.

— Cóż, w pewnym momencie straty są tak wielkie, że mózg przestaje pełnić swoje funkcje i następuje jego śmierć.

— Więc umrę...

— Tak, niestety. Hm, cóż. Przykro mi, doprawdy. Nawet bardzo.

— Rozumiem. To przecież nie pańska wina.

— Właśnie. Po prostu nie ma na niego sposobu. Nie da się go zabić, nie powodując śmierci nosiciela. Rozumie pan to, ponieważ jest inteligentnym człowiekiem. Być może pańska larwa będzie trwać w uśpieniu przez wiele lat, to się już zdarzało, może się w ogóle nie przebudzi. Byłby to pierwszy taki przypadek, ale przecież różne rzeczy się zdarzają.

— Daje mi pan jakąś nadzieję?

— Nigdy nic nie wiadomo... Nawet my, lekarze, nie mamy pełnej władzy nad naturą.

— Chciał pan chyba powiedzieć: wiedzy.

— Dobrze wiem, co chciałem powiedzieć i to właśnie powiedziałem. Nie jestem agnostykiem, kochany panie. Nie w moim zawodzie.

— Wybaczam panu. Umierającego stać na taki gest. — April wstał w gniewnej pozie.

— Serdecznie dziękuję. Zechce pan zapłacić teraz, na miejscu. Sam pan rozumie...

— Pan doktor nie chce ryzykować, że zapomnę. — W oczach Aprila pojawiła się pogarda. Włożył rękę do kieszeni.

— Doprawdy, po co ten cynizm? — Dr Okrutnicki również wstał. Pieniądze zwykł przyjmować w pozie wyrażającej szacunek.

April wyjął z kieszeni zaciśniętą pięść i trzasnął nią lekarza w twarz.

— Auć! — wykrzyknął Okrutnicki. — Bez wybryków, bo każę pana obezwładnić i wypielegniarczyć!

— Nie ma potrzeby — rzekł April kładąc na stole kilka banknotów. — Tyle starczy, czy policzy pan sobie więcej za współczucie?

2.

Zostało mu zatem niewiele czasu, by dokonać wszystkiego, a potem to zniszczyć. Zastanowił się, ile jeszcze pociągnie. Rok? Pół? Miesiąc? Czy krócej? Czy można jakoś wpłynąć na to, by larwa spała spokojnie i nie nabrała naglej ochoty do życia? Czy jakieś jego działania mogą doprowadzić do jej przebudzenia? Jeśli tak, to jakie? Co ma robić, a czego unikać? Może wystarczy samo myślenie o tym, że ona tam jest. Zwykły impuls elektryczny przelatującej myśli może ją wyrwać z letargu...

Naraz poczuł w głowie taki ból, jakby miała ją rozerwać od środka jakaś straszna siła. Na chwilę stracił wzrok i równowagę. Ześlizgnął się z krawężnika wprost przed nadjeżdżający samochód. Rozległ się pisk hamulców i — gdy niczym ślepiec przechodził przez jezdnię — seria pękających jak granaty wyzwick. Wpadł prosto w objęcia policjanta.

Policjant: — Niech no pan chuchnie.

April: — Boże, jak mnie boli! To się już zaczęło! Już żre, już zaczynam tracić pamięć. Gdzie jestem? Kim pan jest? Dlaczego on mi nie powiedział, że to tak boli? — Łzy spływały mu po policzkach.

Policjant: — Pan jesteś pijany. Nazwisko.

Równie niespodziewanie jak się pojawił, ból znikł. April poczuł się znakomicie. Roześmiał się i spełnił swoją zachciankę — huknął policjanta w pysk. Potem uciekł ze śmiechem.

Pół godziny po tym wydarzeniu był na uniwersytecie. Chciał się godnie pożegnać z profesorami i adiunktami. Przetoczył się przez swój wydział niczym szaleńcze komando, tłukąc jak leci, aż wypadały sztuczne szczęki, łamały się przegrody nosowe, pękały miażdżone wargi, fruwały wyrywane włosy. Wybiegł z budynku zdyszany i poturbowany (niektórzy naukowcy stawiali opór) — ale czuł się dziko zadowolony, że zrobił coś, o czym od dawna marzył.

Lekkim krokiem szedł przez dzielnicę uniwersytecką, wzdłuż rzeki. Kilka osób pozdrowiło go z daleka, skinął tylko głową. Zobaczył przed sobą parę niezwykle uroczych nóg i za nimi podążył nie bacząc na znajomych.

Zabiegł drogę ich właścicielce w dość gwałtowny sposób.

— Huh! — zawołała wystraszona; April wyglądał nieco nieporządnie, jakby uciekał przed policją. — Nie mam pieniędzy! Przynajmniej niezbyt wiele — przyznała prawdomównie.

— Nie szkodzi — powiedział. Na szczęście jej przód dorównywał rewersowi. — Ja mam dostateczną ilość. Koniecznie musimy razem pójść na kawę.

— Oj, naprawdę — powiedziała zbита z tropu (podczas rozmowy nie mogła go wypatrywać na chodniku).

— Niech pani nie odmawia, to nie ma sensu. — Ujął ją za łokieć. — Do najbliższej kawiarni mamy siedemdziesiąt trzy i pół kroku. No, chodźmy, opór na nic się nie zda — uśmiechnął się szelmowsko, co zwykle działało.

— Dobrze, pójdę — zgodziła się, ujęta na dwa fronty. — Ale pan przecież krwawi!

— To drobiazg. — Chustką owinał zakrwawioną dłoń. — I proszę, nic nie widać. Chodźmy.

W kawiarni wypili po dwie kawy i zjedli razem pięć ciastek (April cztery). Opowiedzieli sobie swoje życiorysy w wersji skróconej. Choroba Aprila wzbudziła w niej litość i czułość, jak przypuszczał, ponieważ użył poetyckiej metafory, a kiedy zapewnił ją, że nie przenosi się drogą płciową, zaprosiła go do siebie. Mieszkała z koleżanką, która okazała się równą babką, gdyż wyszła wcześniej, zostawiając kartkę, że nie wróci na noc. W związku z tym faktem April pobiegł po wino, które szybko wypili i poszli do łóżka. Długo go pieściła, mówiąc różne romantyczne bzdury, zapewne wyczytane w jakiejś grubej książce. Potem otworzyła się i czekała na niego. Jemu jednak odechciało się wszystkiego, być może te frazesy tak go osłabiły. Zastanawiał się, co jej powiedzieć, żeby nie wzięła go za impotentę, ale nagle zauważył, że ona śpi już, pochrapując z otwartymi ustami i udami.

Wyszedł na ulicę. Było ciemno i powietrze zdawało się czarne. Wędrował po mieście, a cień oplatał go miękkim płaszczem. Słyszał koty skaczące po dachach i bijące się o władzę nad rewirem. Potknął się o pijaka zamrozonego pod murem — jego butelka była pusta i połyskiwała smutno. Z oddali dochodził historyczny śpiew pogotowia, które ratowało komuś życie, a może po prostu stwierdzało zgon. Słyszał krzyki i śmiech wyciekające z mieszkań. Widział dwóch chłopaków kradnących samochód. Przechodził obok tego tak obojętnie, jakby już nie istniał.

Na starym moście dostrzegł kobiecą postać. Siedziała na granitowej poręczy i majtała nogami nad czarną wodą, która wciągała księżycowe światło zamiast je odbijać.

— Nie warto skakać — odezwał się stając za nią. Drgnęła, ale nie odwróciła się. — Rzeka jest tu płytka, tylko by sobie pani zniszczyła płaszcz, a nic by z tego nie wyszło.

— Chce pan mój płaszcz? — powiedziała. — Wystarczyło poprosić.

Milczał, oparty o balustradę za jej plecami. Odwróciła się, ale jej nogi nadal wisiały w powietrzu.

— Dlaczego pan myśli, że chciałam skoczyć?

— A nie chciała pani?

— Może. Teraz już na pewno nie skoczę. Popsuł mi pan nastrój.

— Przepraszam. Ale w tym miejscu naprawdę nie warto. Ledwo metr głębokości, może mi pani wierzyć.

— Dobrze, wierzę. Jednak w ten sposób nie dostanie pan mojego płaszcza.

— Wcale go nie chciałem. — Wyjął papierosa. — Z kobiecych ciuszków zakładam co najwyżej pończochy – zażartował bez przekonania.

— Przyjemnie tak posiedzieć nad wodą — powiedziała po chwili.

— Całkiem przyjemnie. Pali pani? — zaproponował.

— Właściwie nie. Ale mogę zapalić, jeśli pan mnie poczęstuje.

— Wolę nie. Szkoda, żeby się pani truła tylko dla towarzystwa.

— Och, co za troska. Może mnie pan z całym spokojem poczęstować. Ten papieros i tak mi nie zaszkodzi. Ani żaden inny.

— W takim razie poczęstuję panią.

Zakrzuszyła się dymem raz, potem paliła spokojnie, jak osoba, która wróciła do nałogu po długiej przerwie.

— Co panią skłoniło do tego kroku? — spytał April po dłuższej chwili takiego milczącego palenia.

— Jakiego kroku? Ach! — roześmiała się. — Nie było żadnego kroku.

— A gdybym tędy nie przechodził?

— Trochę się pan chyba przecenia — wzruszyła ramionami. — Nawet gdyby pan czuwał nade mną dzień i noc, nie mógłby mnie pan uratować. Umrę niedługo.

April rzucił nie dopalonego papierosa pod nogi. Przez sekundę był jak spadająca gwiazda.

— Pani jest chora — stwierdził z łagodną pewnością, co ją chyba zaskoczyło.

— Tak. I nie ma dla mnie ratunku. — Patrzyła teraz na niego i choć było ciemno zobaczył błysk jej oczu.

— Płacze pani?

— Skąd! Po co? Przyzwyczaiłam się.

— Co to za choroba?

— Nie ma o czym mówić.

— Niech mi pani powie. — Dotknął jej dłoni na chłodnym granicie.

— Słyszał pan o czymś takim jak larwa? Mam ją w sercu. Larwa zmienia się w robaka, który drążąc korytarze w sercu pożera wszystkie uczucia. Prawda, że to ładne? Staję się nieczuła i zimna. A potem umieram.

Oparł się ciężko o poręcz.

— Zaniemówił pan? Pewnie wydaje się panu, że ładne dziewczyny nie chorują i nie umierają?

— Mam to samo — powiedział spokojnie. — Tylko że tu — wskazał swoją głowę.

— Och! — wykrzyknęła zeskakując na ziemię. — Ale pan głupi! Mógł pan wymyślić coś lepszego. Ja mówiłam prawdę, a pan stroi sobie żarty. Żegnam.

Odwróciła się, by odejść, ale on położył rękę na jej ramieniu.

— Niech pani nie idzie. Nie żartowałem. Jestem równie chory, jak pani.

3.

Wciąż jeszcze mu nie dowierzała. Wyglądała na nieco nadąsaną.

— Przecholował pan — powiedziała. — A ja mówiłam poważnie.

— Mam pokazać pani zaświadczenie lekarskie? Chce je pani zobaczyć? Czarno na białym: larwa w mózgu. Podpisane przez najlepszego fachowca w tej dziedzinie, tego skurwysyna Okrutnickiego. Chce pani zobaczyć papier?

Milczała dobrą minutę. Wreszcie westchnęła i potrząsnęła głową.

— Nie trzeba. Wierzę panu. Przypomina mi pan mnie, w dniu, w którym dowiedziałam się, że jestem chora. Nie wie pan, co z sobą zrobić, nie wie, ile jeszcze panu zostało życia. Trudno z tym żyć.

April puścił jej ramię. Ulżyło mu.

— Niech pan mnie nie puszcza — powiedziała cicho. — Niech pan mnie trzyma.

Objął ją ostrożnie.

— Tak lepiej?

— Tak.

— Jak pani ma na imię?

— Basia. Mała Basia, która nigdy nie umrze. Szkoda, że to nieprawda. A pan? Jak panu na imię? — Odsunęła go od siebie, znowu silna.

Przedstawił się. Spytała, która godzina. Było wpół do drugiej.

— Co będziemy robić? Chce się panu spać?

— Nie. A pani? Odprowadzić panią do domu?

— Nie chcę wracać. Niech pan coś wymyśli. Nie mam czasu się nudzić. — Wyczuwało się u niej nagły przypływ energii. Nogi rwały się jej do drogi, wykonała kilka zamasztych ruchów ramionami. — Chwilami mam wrażenie, że moja larwa się porusza. Może przewraca się na drugi bok. Boli mnie wtedy serce. A jak będzie boleć, kiedy się obudzi? Brr, wołę o tym nie myśleć. Boi się pan? Zresztą, co za różnica. Strach na nic się nam nie przyda. Ja nie mam czasu się bać. Niech pan coś wymyśli!

— To nie takie łatwe z larwą w mózgu! — powiedział April. Świadomość, że nie jest sam ze swoją przypadłością, poprawiła mu humor. — Przejdźmy się po mieście. Ja też nie mam zamiaru spać tyle, co do tej pory. To czyste marnotrawstwo. Proszę podać mi rękę, Basiu!

— Dobrze! Chodźmy tam, gdzie nas oczy poniosą.

Ulica była zupełnie pusta. Z rzadka mrugały światła w witrynach, sklepów było coraz mniej i były uboższe od tych w centrum. Domy także wyglądały gorzej, odrapane, zapuchnięte i rozchwiane. Im głębiej wchodzili w tę dzielnicę, tym mniej napotykali działających latarni. Mijane bramy zionęły piwnicznym chłodem, zapachem myszy i moczu. Było coraz ciemniej i ponurzać się. Obejmowała ich cisza, w której słyszeli tylko swoje oddechy i puls miasta. Rurami schowanymi pod asfaltowym naskórkiem płynęła z miękkim bulgotem ciężka krew miasta.

— Ciemno tu — przerwał milczenie April. — Nie boi się pani ciemności?

— Ja się niczego nie boję. I ty też przestaniesz się bać cegokolwiek.

Przeszył go dreszcz.

— Nigdy nie byłem w tej części miasta. A wydawało mi się, że zjeździłem je wzdłuż i wszerz — powiedział.

— Może ono po prostu urosło?

— Tak. Jeżeli potraktujemy miasto jak każdy inny żywy organizm, to jest logicznym twierdzenie, że jak każdy organizm i ono rośnie. W takim razie każda ingerencja w ten organizm, dajmy na to kopanie rowów, musi sprawiać mu ból, tak jak nam sprawia ból skaleczenie czy wyrwanie zęba. — Zamilkł podekscytowany swym odkryciem. — To dlatego tak krzyczy. Ciągłe słycać jego krzyk.

— Teraz jest cicho — powiedziała Basia.

— Bo śpi. Przez sen nie boli tak jak na jawie.

Przeszli przez jakąś niewidzialną granicę. Naraz zrobiło się jaśniej, ale było to światło inne niż poprzednio — jakieś zielonkawe i słodkie jak karmelki.

— Nigdy tu nie byłem — powtórzył April, teraz już całkowicie pewien.

— Zobacz! — Basia wskazała jakiś sklep. Miał szeroką witrynę obramioną różnokolorowymi żaróweczkami. Nad wejściem mrugał neon z napisem „Kruk i on sam”.

Ruszyli w kierunku sklepu. W tym momencie jego drzwi uchyliły się i wyszła z niego ciemna postać, która wstydliwie kryjąc pod pachą jakiś pakunek pośpiesznie pokuśtykała w głąb ulicy.

— Proszę — powiedziała Basia. — Sklep otwarty o drugiej w nocy. „Kruk i on sam”, co to za nazwa? Wstąpimy tam?

— Może uda się nam napić herbaty — wyraził nadzieję April.

Zbliżyli się do wystawy. Dyskretnie podświetlone znajdowały się tam — przeróżnie ułożone, zawieszane na cienkich żyłkach, oparte o siebie niczym broń myśliwska, w pudełkach lub luzem — części ludzkiego ciała. Ramiona bez i z dłońmi, palce zapakowane po pięć w foliowe woreczki, oczy w małych tekturowych pudełkach jak pierścionki u jubilera, różowe płatki uszu na aksamitnych poduszczykach, nosy w specjalnych futerałach, organy wewnętrzne w porcelanowych wazach, jelita zwisające niczym choinkowe ozdoby z górnej części ekspozycji.

— Co to ma znaczyć? — wykrztusił April.

— Sklep mięsny? — zachichotała Basia. — Mięso z człowieka?

— Wiem już! To sklep z protezami — domyślił się April.

— Wejdźmy jednak.

Wewnątrz panował gęsty półmrok. Za ciężkim staromodnym kontuarem wznosiły się regały, na których zalegały towary w rodzaju tych wyeksponowanych na wystawie. Na ladzie stała olbrzymia chromowana kasa z okrągłymi przyciskami i dużą szufladą. W sklepie znajdowała się jeszcze wąska leżanka i fotelik obity popękana ze starości skórą.

I było dziwnie chłodno. Z ust wydobywała się para.

Stali obok kasy rozglądając się po zupełnie pustym pomieszczeniu. Naraz coś się poruszyło i za kontuarem pojawił się człowiek. Sądząc z wyglądu był to Kruk i on sam we własnej osobie. Był to wysoki, stary człowiek o ptasich oczach i prostym, trójkątnym, jakby od linijki wyciętym nosem. Jego włosy układały się jak nastroszone czarne pióra, którymi w istocie były. Cała jego postać wydawała się usztywniona za pomocą kija przywiązanego do tułowia pod ubraniem. Jego głos brzmiał jak krakanie.

— Czym mogę służyć?

— Dzień dobry — powiedziała Basia. — Co to za dziwny sklep!

— Zależy dla kogo — odrzekł z godnością. — Czym mogę służyć?

— Właściwie, czym może nam pan służyć? — zapytała Basia.

— Wszystko, co się tu znajduje, jest na sprzedaż. — Kruk obrócił się na pięcie i zatoczył sztywno wyprostowaną ręką półokrąg. Pióra na jego głowie cicho zatrzepotały. — Mam największy wybór w mieście, wszystkie rozmiary, od dziecięcych po nietypowe. Montaż na miejscu lub poza zakładem, na własne ryzyko.

— To są protezy, prawda? — upewnił się April.

— Młody człowieku. — Kruk wyraźnie się obruszył. Nachylił się nad nim, jakby chciał wbić swój spiczasty nos w jego czoło. — Co pan powiedział? Protezy, u mnie?

— W takim razie... Chyba nie chce pan przez to powiedzieć...

— Dlaczego nie? Ma pan chęć wymienić sobie rękę? Pańska krzywo się zrosła po złamaniu, jest chora, za słaba, a może chciałby pan prawdziwą prawą rękę, bo ciągle mówią panu, że ma dwie lewe? Żaden problem, wezmę miarę i za pół godziny będzie pan miał rękę jak nową. W rzeczy samej, ona będzie nowa. Z trzyletnią gwarancją.

— To są żywe... narządy? — zapytał April.

— Zimno mi — mruknęła Basia.

— Żywe i najwyższej jakości. — Kruk skłonił się ledwo dostrzegalnie.

— Zaraz, więc mówi pan, że mogę sobie wymienić jakąkolwiek część ciała?

— Naturalnie, miły panie.

— Ten człowiek, który tu był przed nami... — wtrąciła Basia.

— Kulał bardzo nieestetycznie. Wziął lewą nogę na wynos. Tak jest taniej. Zbierał pieniądze przez kilka lat.

Basia i April poczuli żywsze pulsowanie krwi w skroniach. Jednocześnie pomyśleli o tym samym i wykrzyknęli swoje życzenie:

— Serce!

— Mózg!

Spojrzeli na Kruka wyczekująco. Ten powoli pokręcił głową.

— Przykro mi — rzekł ponurym tonem. — Tego zamówienia nie mogę zrealizować. Wątroba, nerki, płuca — proszę uprzejmie. Ale nie serce. Oczy, uszy, język — żaden kłopot. Ale nie mózg. Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę wam pomóc. — Zapadła cisza wypełniona wibrującym rozczarowaniem.

Basia odpędziła je zniecierpliwionym machnięciem.

— Może kupię sobie chociaż język. Będę miała zapasowy, do strzępienia po próżnicy — zachichotała z rozpaczą. Nadzieja, która pojawiła się tak niespodziewanie, kryła w sobie gorzyc porażki. Czuła jej smak na podniebieniu i zapragnęła polizać słodkie światło na ulicy.

— Chodźmy stąd — powiedział April. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że z ust Kruka nie wydobył się ani jeden obłoczek pary.

4.

Niespodziewanie odkryli, że wokół nich znajduje się mnóstwo sklepów i zakładów usługowych, wszędzie jest pełno ludzi i słysząc gwar ich głosów. Nad głowami rozbłyskiwały neony.

— Dałbym głowę, że jeszcze niedawno nic tutaj nie było — powiedział April.

— Wiesz, co ja myślę? — odezwała się Basia. — Myślę, że to wszystko pojawia się specjalnie dla nas.

— Jak to?

— Oni wiedzą, że umieramy. Chcą nam uatrakcyjnić tę resztkę życia, jaka nam pozostała, a przy okazji wycisnąć z nas ile się da dla siebie.

Jakby na potwierdzenie jej słów wokół zaczęli się pojawiać ludzie.

— Życzy pan sobie frak na miarę? — zapytał Aprila chudy garbaty krawiec. Obmacał go zwinnymi dłońmi, głośno trzaskała miara oplatając niczym zachłanne pnące ciało Aprila. Krawiec oderwał ją i zapisał wymiary w bloczku.

— Po co mi frak? — spytał April próbując nadażyć wzrokiem za ruchami krawca.

— Drogi panie, w trumnie trzeba wyglądać jak należy! Z klasą! Chce pan, żeby się nad panem litowali, kiedy zdejmą wieko, czy woli, aby pokręcili głowami z uznaniem, mówiąc: O, ten to miał zawsze klasę? Zapraszam jutro do przymiarki! — Zniknął w swoim zakładzie. Neon nad wejściem natychmiast zgasł.

— Lody, lody! — pokrzykiwał uliczny sprzedawca. Pchał przed sobą pękaty wózek pachnący stycznem. — Proszę do mnie, migiem do mnie! Tylko u mnie wspaniałe desery lodowe! Kule bakaliowo-rumowe! Kremy mrożone cytrynowe! Sorbety owocowe! Rurki i pturki! Ptysie i eklery, jeśli mam być szczerzy, najlepsze w mieście! Wszystko, co najśłodsze, tylko u mnie! Panienko, co podać? — zwrócił swoją oszronioną brodę w stronę Basi. Gdy poruszał głową, kryształki lodu w brodzie wydawały dźwięk trącających się cieniutkich kieliszków. — Polecam wielki wybór lodów! Lody włoskie? Lody na patyku w polewie czekoladowej dla panienki? Lody w kulkach? Bakaliowe, orzechowe, rumowe, cytrynowe, brzoskwińowe, wiśniowe, waniliowe, czekoladowe, kawowe, śmietankowe, poziomkowe, pomarańczowe, jagodowe, truskawkowe, porzeczkowe, agrestowe, mango, bananowe, kokosowe, kiwi, z bitą śmietaną, wiórkami migdałowymi, z rurką, z polewą malinową, sosem waniliowym, z biskoptem, z wisienką, z likierem, z cukrową skorupką, z szampańskimi bąbelkami — jakie sobie panienka życzy? Niech panienka zamawia, nie ma czasu, czas ucieka, lody się roztapiają, proszę zamawiać, bo za chwilę odejdę, czekają na mnie już tam i siam, mam liczne zamówienia do domu, na co panienka czeka?

Basia, oszołomiona grą jego zmrożonej brody i potokiem słów, zaczęła wybierać, a im dłużej wybierała, tym więcej chciała wybrać. Wreszcie lodziarz odszedł, pobrawszy zapłatę, a zapłata była dziwna, zupełnie niematerialna, jakby jej nie było, i Basia została sama z ogromnym naręczem lodów, które zaczynały ściekać jej po dłoniach lepiałą lawą.

Do Aprila podszedł tymczasem wysoki mężczyzna w białym kitlu i srebrnych okularach na wąskiej długiej twarzy. Na wysokim czole miał wytatuowaną trupią główkę, ale tak jasnym tuszem, że prawie nie było jej widać. Otaksował postać Aprila matematycznym spojrzeniem niemal przezroczystych oczu, następnie wyjął z kieszeni kitla metalowy przyrząd, którym zmierzył mu ze wszystkich stron głowę. Wynik zanotował skrupulatnie w

notesie z czarną okładką, na której również widniała trupia główka, tyle że złotej barwy. Potem z drugiej kieszeni wydobył inny przyrząd, rozłożył jego metalowe ramiona i zmierzył obwód klatki piersiowej Aprila. I ten wynik zanotował. Zapisał też efekty pomiarów innych części ciała Aprila. Podczas tej pracy nie odezwał się ani jednym słówkiem, nie chrząknął nawet, nie sapnął, nie westchnął głośniejszy, co Aprila bardzo zaciekało i dlatego też poddawał się wszystkim zabiegom bez oporu, czekając co z tego wyniknie. W końcu mężczyzna zamknął notes, zdjął okulary i schował je do kieszonki na piersi. Powiedział:

— Reflektuję na pańską czaszkę, kość strzałkową prawej nogi, lewe przedramię, miednicę, kręgosłup i palec wskazujący prawej ręki. Moje zainteresowanie wzbudziła też pańska lewa stopa i obojczyk. Tak, powiem panu szczerze, nieźle pan na tym wyjdzie, nasz instytut dostał niedawno sporą dotację, możemy poczynić wreszcie niezbędne zakupy.

— O co panu chodzi? — spytał April.

— O pański szkielet, proszę pana, o pańskie zdrowe, młode kości. Proponujemy naprawdę atrakcyjne stawki. Za czaszkę choćby damy okrągły tysiączek, gdzie indziej dostanie pan taką cenę?

— Czy pan zwariował?

— Dlaczego, ach, dlaczego pan tak myśli? — zagruchał naukowiec i, nie mogąc się powstrzymać, zmierzył mu raz jeszcze rozstaw oczu. — Piękne proporcje, wyborne! Niech pan pomyśli, jak na tym skorzysta pańska rodzina! Zostawi pan po sobie same miłe wspomnienia.

— Jaka rodzina? — spytał April.

— Ma pan chyba jakąś rodzinę? Niech pan pomyśli, jaki sens ma zakopywanie w ziemi czegoś, co jest warte grube pieniądze? Widzę, że rozsądek walczy w panu z tradycjonalistycznym wychowaniem, które — fe! — mówiąc szczerze, mam w głębokiej pogardzie.

— Rodzina? — zastanawiał się April.

— Oj, ma pan słabą pamięć, gotów pan zapomnieć, gdzie ma się pan stawić po śmierci. Oto moja wizytówka i adres instytutu. Niech pan przyjdzie jutro, może wywalczymy dla pana jakąś zaliczkę. Do zobaczenia zatem! — Naukowiec uklonił się i odmaszerował, sadząc wielkie kroki.

Basię porwała do siebie pulchna kobieta odziana w różowe falbanki, omotana szalami i naszyjnikami. Wciągnęła ją do sklepika wypełnionego po sufit ubraniami.

— Przymierz to, moja złociutka, przymierz! — krzyknęła rzucając Basię wężowozieloną suknię; Basia nie zdążyła jej złapać i suknia opadła na krzesło z sykiem łusek. — Albo nie, spróbuj to, to! Tylko to! — Już podawała jej inną, płonąca od czerwieni, parzącą w palce kreację. — Nie, ta nie jest dobra dla ciebie, zbyt wyzywająca. Widzę cię raczej w tej, tak, właśnie w tej! — Gwałtownym ruchem zdarła inną, błękitną sukienkę z manekina, który skulił się zakrywając wstydliwie swą plastikową pleć. — Dlaczego stoisz? Przymierzaj! — Natarczywie pchnęła Basię w kierunku przebieralni. — Pomogę ci, pośpiesz się, nie ma czasu, musisz jeszcze przymierzyć tak wiele rzeczy! Tak wiele mam ci do zaoferowania — krzyczała histerycznie, rozbierając Basię nerwowymi szarpnięciami.

— Czy zaznałeś już prawdziwej miłości? — April usłyszał koło ucha syczący szept. — Czy miłość nie omijała cię do tej pory? Teraz masz okazję ją schwytać! To proste, kup ją sobie! Miłość jest tania, tańsza od garniturów! — Ujrzał niepozornego mężczyznę o szczurzej twarzy zakrytej ciemnymi okularami. — Wybierz sobie dziewczynę! — Wcisnął Aprilowi do ręki kolorowy katalog. — Życzysz sobie posłusznej Azjatki? A może młodej Murzynki z dużymi piersiami? Mulatki o cudnych wargach? Wysokiej Szwedki o białych włosach na górze i na dole? Ognistej Włoszki, która lubi być chłostana? Wytrzymałej niemieckiej klaczy? Pachnącej miodem Rosjaneczki? A może chciałbyś pofiglować z chłopcem, uroczo niewinnym? Czy też z bliźniaczkami syjamskimi zrośniętymi biodrami? Jeśli masz specjalne

zyczenia, nie wstydź się, zamawiaj! Chcesz kobiety z męskimi genitaliami? Strona 78. naszego katalogu. Chcesz kobiety wydzielającej zapach sera szwajcarskiego? A może gustujesz w zwierzętach gospodarskich? Wybieraj, wybieraj, nie masz czasu do stracenia! Korzystaj z życia, póki je masz, kupuj, póki masz czym zapłacić!

April rozglądał się za Basią. Zniknęła gdzieś. Alfons napierał na niego, szepcząc namiętnie swoją litanie. April zdecydował się wreszcie na nieletnią Japonkę. Potem wziął też Murzynkę.

5.

Podnosił się świt, rozświetlając niebo. Światło przesuwano się w kierunku miasta pochłaniając systematycznie domy, sklepy, ludzi. Zielona dzielnica zniknęła w blasku dnia, rozplywała się w powietrzu, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu.

April i Basia, bladzi ze zmęczenia, patrzyli jak światło zbliża się do nich.

— Wygląda tak, jakby chciało nas pochłonąć — powiedział April.

— Czy ono nas zabije? — spytała, mrużąc zmęczone patrzeniem oczy.

— Uciekajmy — powiedział. — Uciekajmy — powtórzył; zadrżał.

Rzucili się do ucieczki. Biegli do znajomych ulic rzeczywistego miasta. Światło sunęło za nimi, doganiało ich, bezdźwięcznie wysysało wszystko za ich plecami. Biegło się im coraz ciężiej, coraz trudniej było oddychać, powietrze było twarde i kanciaste, sprawiało ból, w skroniach falowały kaskady krwi, ich twarze napuchły z wysiłku, ciała ciążyły i zawadzały, coś z nich chciało się wyrwać i zostawić na drodze ten niepotrzebny balast. Światło było już blisko, bardzo blisko. Ale przed sobą widzieli znajomą ulicę robotniczej dzielnicy, już na nią wbiegali, już byli pewni, że umknęli. Nagle Basia drgnęła, jakby coś uderzyło ją w plecy. Jej twarz poszarzała; o mało nie upadła. April złapał ją w ostatniej chwili.

— Dotknęło mnie — szepnęła, bezwładnie zwisając z jego rąk, a z jej ust i nosa sączyły się cienkie strużki krwi. — Dotknęło mnie w plecy.

Usiadł na krawężniku, usadził ją ostrożnie obok siebie. Oparła się o niego, kładąc głowę na jego ramieniu, ciężko oddychała, nadal szara na twarzy.

Ulica budziła się do życia. Sklepy podnosiły żaluzje, otwierały kraty. Pojawili się pierwsi ludzie, śpieszący do pracy i wyprowadzający psy. Przejechała furgonetka z piekarni. Środkiem jezdni szli dwaj pijani mężczyźni podpierając się nawzajem i bełkocząc w sobie tylko zrozumiałym języku.

April dotknął czoła Basi. Było zimne i wilgotne. Czującym ruchem odgarnął z niego włosy. Opierała się o jego bok całym ciężarem ciała, gdyby się teraz odsunął, upadłaby na ziemię.

— To już przeszło — powiedział. Chusteczką otarł z jej twarzy krew. Wysilek się skończył, teraz spłynęła na niego błogość odpoczynku. — Zdażyliśmy. Za nami nic już nie było, tylko pustka. — Nie chciał nawet patrzeć w tamtą stronę. Wiedział, co tam jest: miasto kończy się nagle zwartą czernią, w której nic nie ma.

Jej zaciśnięte powieki zadrżały. Słyszała go, ale nie otworzyła oczu.

— Jak się czujesz? — spytał. — Czy coś cię boli?

— Serce — powiedziała głucho i Aprilowi zachciało się płakać. A więc to się już zaczęło? Czy zaczynała umierać właśnie teraz, gdy zrozumiał, że ją kocha?

— Bardzo boli?

— Tylko trochę. Czuję, jak to się porusza.

Siedzieli tak dość długo. Ludzie idący do pracy obrzucali ich wzrokiem, w którym nie było zdziwienia — za wczesna była pora, żeby się dziwić.

W pewnej chwili Basia usiadła, potem wstała o własnych siłach.

— Już odpoczęłam — powiedziała. Twarz jej była jeszcze blada, ale na ustach gościł już lekki uśmiech. — Masz cierpliwość! Inny dawno by sobie poszedł. Komu by się chciało siedzieć na ulicy z chorą dziewczyną?

Patrzył na nią z miłością.

— Należy ci się długi sen. Odprowadzę cię do domu.

Za mostem, na którym się spotkali, skręcili na stare miasto i tam przeszli kilkoma ciasnymi uliczkami. Przed jej niebieską kamieniczką April powiedział, że ją kocha. Uśmiechnęła się i nie pocałowała go, tylko pogłaskała po policzku, jak małego chłopca, który wierzy w cudowną moc jednego słowa.

Umówili się na następną noc w zielonej dzielnicy. Wiedzieli już, że tam jest ich miejsce.

6.

April miał złe sny. Kłębiły się w jego głowie jak węgorze w wiaderku, były gwałtowne, opalizujące i śliskie, a dźwięk dochodził stłumiony, jakby spod warstwy błota.

Gdy April się obudził, nie pamiętał nic, bolała go tylko głowa. Wstał z łóżka, pościel była przeпоcona i zła na niego, w głowie mu się kręciło, zatoczył się i uderzył o ścianę, która ugięła się litościwie, przyjmując na siebie cały impet; dom troszczył się o swojego pana, mimo iż ten poświęcał mu niewiele życzliwej uwagi.

Długa kąpiel rozjaśniła Aprilowi w głowie. Umył zęby i ogolił się. Wycierając twarz, usłyszał raptem blaszany hałas. Dobiegał on bez wątpienia z kuchni, miejsca pachnącego zużyтым olejem do smażenia i pleśnią, z tłustymi szybkami szafek i wilgotnymi rurkami wczepionymi w ściany. Hałas przemknął szybko niczym szczur po napiętych ścianach mieszkania, przecisnął się przez szparę w drzwiach łazienki, odbił od lustra i wpadł prosto do pokrytego pianą ucha Aprila.

April udał się do kuchni nie dbając o zakrycie swej nagości. Po kuchni kręciła się gruba osoba; mimo swej tuszy poruszała się bardzo zwinnie od zlewozmywaka do schowka na kartofle.

— Co pani tu robi? — huknął April.

— Ajć! To pan! Ależ mnie pan przestraszył! — wrzasnęła gruba kobieta (miała potężne ręce i gruby wiejski głos). — Musisz się pan tak skradać? Człowiek może z przestרחu ducha wyzionąć!

— Pytam jeszcze raz, co pani tu robi — powiedział April zimno.

— A pan nie mógł się chocia czym zakryć? — wrzasnęła, gapiąc się na tę część Aprila, która znajdowała się poniżej pępka. — To przecie obraza boska tak latać na golasa.

— To moje mieszkanie i mogę sobie w nim chodzić jak mi się podoba, stara dupo! — krzyknął April, poważnie wkurzony.

— Nie pańskie, ino rodziców szanownych — sprostowała kobieta, tonem głosu okazując mu swoje lekceważenie. — I niech pan na mnie nie krzyczy, bo mnie zara trzęsie! Jak ja mam w takim stanie obierać kartofle, co? — wrzeszczała, a jej chamski głos doprowadzał Aprila do szału.

— Wynocha stąd, babsztylu, ale już! — ryknął ile sił w płucach. — Wynocha z tego mieszkania, natychmiast! Trzeci raz nie powtórzę!

— No coś pan, a kto panu obiad ugotuje? — Gruba kobieta zaczęła się cofać przed potężniejącym od gniewu Aprilem. — Co się pan dziś tak dziwnie zachowuje, panie April, no coś pan, co to za wzrok, zwariowałżeś pan czy co?

— Precz! Wynoś się, ty, ty! — Cisnął w nią ziemniakiem.

— Au, aj! No coś pan! Nie poznajesz własnej gosposi? Przecież trzeba coś jeść, no nie? Au, to boli, poskarżę się pana rodzicom, o Jezus Maria, niech pan już przestanie!

Kilka bulw ugodziło ją w czoło i wielkie kanciaste piersi. Cofała się do wyjścia aż rozpląszczyła się na drzwiach w przedpokoju. Drzwi nagle zmiękły i gruba kobieta przeleciała przez nie jak przez miękkie ciasto, upadła na plecy przebierając nogami jak karaluch. Zaraz jednak podniosła się i zaczęła uciekać schodami w dół, nie przestając skrzeczeć i złorzeczyć.

— Co to było za babsko? — spytał sam siebie April. Nie widział jej nigdy przedtem, był tego pewny.

Dokończył toalety i ubrał się. Poczul, że jest bardzo głodny. Grzebiąc w lodówce, w której nie było nic gotowego, pożałował, że tak impulsywnie wyrzucił za drzwi swoją kucharkę (skoro tak twierdziła). Ponieważ nie miał ochoty na improwizację, wyszedł do restauracji. Doszedł do wniosku, że nie ma sobie co żałować.

Usiadł przy oknie. Gdy zabierał się za drugie danie, zobaczył że po drugiej stronie szyby ktoś próbuje zwrócić na siebie jego uwagę. Był to jakiś niski facet o twarzyczce starzejącego się niemowlaka z wąsami — April widział go po raz pierwszy w życiu. Wzruszył więc ramionami i zabrał się do jedzenia.

Tymczasem osobnik zza szyby wpadł do restauracji i podszedł do jego stolika wołając:

— Aprilisko! Pyszczysko, stary!

— Coś się tak przyczepił, człowieku! — April spojrzał na niego niechętnie. — My się przecież nie znamy.

— Jak to? — zdziwił się tamten. — Nie poznajesz swojego starego kumpla? Błażejek? — uniósł z nadzieją gęste brwi. — Halo, jest tam kto?

— Odczep się pan! Nie znam pana i nie mam ochoty poznawać.

— Przecież ja znam twoje imię! Jak myślisz, skąd?

— Nie wiem. To jakieś nieporozumienie. Daj mi pan spokój, bo się zdenerwuję.

— Ach tak — oburzył się Błażejek. — Nie poznaje się starych kolegów, tak? Udaje się, że nie istnieją, tak? Zgrywa się ważniaka, bo kolega dostał się na studia, a ja nie, tak? — Błażekowi posiniały policzki.

— Kelner! — zawołał April. — Czy tu nie można zjeść w spokoju? Proszę wyprowadzić tego pana!

— Nie ma potrzeby — obraził się Błażejek. — Sam sobie poradzę.

April skończył obiad i zawołał kelnera. Ten uśmiechał się głupkowato biorąc pieniądze.

— I z czego się pan tak cieszy? — spytał April.

— Wie pan, kto to był, ten facet przed chwilą?

— Nie wiem i nie obchodzi mnie to. Resztę poproszę.

— Pański najlepszy przyjaciel z liceum, cha, cha!

— Niech pan się przestanie śmiać! Co to za żarty? Skąd pan to niby wie?

— Powiedział mi wychodząc. Dokładnie tak powiedział: Cztery lata w tej samej ławce w ogólniaku, a teraz udaje, że mnie nie zna, skurwiel jeden!

— No, no, uważaj pan! Dać panu w pysk?

— Tak powiedział, ja tylko powtarzam — śmiał się bezczelnie kelner.

— Idź pan do diabła, bo nie wytrzymam. — April wyszedł, rozwścieczony zachowaniem kelnera i facecika, który podawał się za kogoś, kim najoczywiściej w świecie nigdy nie był.

Na ulicy rozejrzał się wokół wzrokiem, w którym było zdziwienie i bezradność. Nie wiedział, gdzie się znajduje. Nie poznawał okolicy. Głowa znów bolała straszliwie. Coś w niej tkwiło. Ziarenko ryżu. Oparł się o ścianę, w oczach mu pociemniało. Już. Zaczęło się. Już po nim.

Po chwili doszedł do siebie. Błażejek. Musi to sprawdzić w domu. Przejrzeć album ze zdjęciami ze szkoły. A dom jest tam, niedaleko, za rogiem.

W drodze walczył z nadciągającym strachem. W łazience wymiotował długo, wstrząsany bolesnymi skurczami. Potem, kiedy wszystko ustało, leżał rozciągnięty na zimnej posadzce z czołem opartym o podstawę muszli klozetowej, struchlałej i nie śmiącej nawet drgnąć. Takim jeszcze nigdy go nie widziała, nawet po całonocnym balecie z kumplami.

7.

Niecierpliwie czekał na nią na moście. Bał się, że pomylił miejsce spotkania. Czy nie umówili się gdzie indziej? Czy na pewno na tym moście siedziała patrząc w dół, gotowa skoczyć, kiedy on nadszedł? Zaczynał zapominać, miał już na to dowody. Znalazł pomarszczoną twarzyczkę Błażejka na kilku zdjęciach klasowych. A więc tracił pamięć, robak zaczął już zjadać jego mózg. Wypełniony mdłą pewnością zacisnął powieki, wczepiony palcami w chropawy kamień balustrady, czekał. Otworzył oczy dopiero wtedy, gdy poczuł dotyk jej dłoni na łokciu.

— Cześć, April. Wyglądasz blado.

— Bałem się, że już nigdy cię nie zobaczę — powiedział i ulga, jaką odczuł, odebrała mu oddech.

— Dlaczego? Myślałeś, że nie przyjdę?

— Nie, to ja. Zaczynam zapominać. Moja larwa przebudziła się.

— Och! — roześmiała się, a w jej głosie było bezmyślne okrucieństwo. — O to chodzi.

— Przestań! — krzyknął, a ona popatrzyła na niego wzrokiem, w którym zabłysła nienawiść.

— Uważaj — powiedziała zimno. — Nigdy na mnie nie krzycz. Nigdy więcej.

Przygryzł wargi. Wiedział już, że wszystko skończone. Nie ma odwrotu.

— Chodźmy tam — powiedział. — Przepraszam cię, Basiu. Po prostu tam chodźmy.

Powoli zapadał zmrok. Zapalały się nieliczne latarnie. Niebawem ich światło stało się zielonkawe i miało smak karmelków. Wystarczyło otworzyć usta, by go poczuć.